

Mój Lublin szczęśliwy i nieszczęśliwy

Jestem wzruszona widząc Lublin. Chodzę po mieście i oglądam wszystko oczami duszy. Myślę, że moja rodzina, to znaczy mąż, córka, oni widzą to inaczej. Córka widzi niezaplanowane miasto, biedną, zdewastowaną Starówkę. Jest to coś zupełnie innego, niż w Izraelu, gdzie wszystko jest zaplanowane, nowoczesne i przede wszystkim zadbane. Serce mi się ścisnęło, gdy przechodziłam koło hotelu „Europa” na Krakowskim Przedmieściu. Ja pamiętam ten hotel sprzed wojny. To było bardzo eleganckie miejsce. Tam przychodziły panie w futrach. Przed hotelem stali inwalidzi, ale nie żebracy. Pracowali jako posłańcy obsługując gości, na przykład nosili listy miłosne do pań od panów, którzy mieszkali w hotelu, a w mieście mieli swoje miłosne przygody.

Pamiętam jak do Lublina przed wojną przyjeżdżała wybitna aktorka żydowska z Warszawy, Ester Rachel Kamieńska. Na dworcu kolejowym w Lublinie czekali na nią już studenci żydowscy, którzy zaprzęgali się zamiast koni do jej dorożki i tak wieźli ją do „Europy”, gdzie zazwyczaj zatrzymywała się.

Pamiętam Lublin szczęśliwy.

Teraz, stojąc przed własnym domem, odczuwam wielki ból. Żyłam tam razem z rodzicami i rodzeństwem, byłam tam szczęśliwa. Teraz ulica Noworybna jest inna i ludzie też mieszkają tam już inni. Boli mnie, że nie mogę odnaleźć mojej przedwojennej dzielnicy żydowskiej, a to co po niej pozostało, jest w strasznym stanie. To wrażenie jest bardzo mocne.

DZIADKOWIE

Mój dziadek od strony ojca, Beniamin Gewerc był chasydem, zwolennikiem cadyka z Bełżyc i chodził do jego domu modlitwy w Lublinie tzw. sztiblech. Przy tym był człowiekiem zamożnym. Przed I wojną światową miał fabrykę mosiądzu i skład żelaza na ulicy Furmańskiej. Mimo posiadania ośmiorga dzieci, w jego domu nie odczuwano problemów finansowych, a warto dodać, że każde z jego dzieci było wykształcone. Dwóch wujków było adwokatami, ciotki studiowały na uniwersytecie. Rodzina biedy nie cierpiała. Mieszkali w pięciopokojowym mieszkaniu, a babka pochodząca z Warszawy, pracowała w sklepie dziadka. Mieszkali w domu Borensztajna, znanym

przed wojną budynku, położonym róg Furmańskiej i Cyruliczej, gdzie dawniej były dwa przejścia, na obydwie ulice. Obecnie już tylko można tam wejść od Cyruliczej.

Dziadek, jako chasyd, wcale nie był zadowolony z tego, że jego dzieci mają świeckie wykształcenie, ale to był wpływ mojej babci, osoby nowoczesnej, warszawianki, a przy tym żony pobożnego chasyda, która nie mogąc sama się kształcić, pragnęła dać wykształcenie swoim dzieciom. Mój ojciec, wujkowie, ciotki, kontakt z żydowską tradycją i religią mieli ze względu na dziadka. Udawali przed własnym ojcem, że chodzą do bóżnicy, a na przykład sam wujek potrafił w największy post żydowski, w Yom Kippur (Sądny Dzień), pójść rano do bóżnicy, a potem po południu siedział ze swoją polską przyjaciółką w kawiarni.

Rodzice mojej mamy, Aspisowie, mieszkali natomiast na Grodzkiej. Dziadek Aspis, do połowy lat dwudziestych miał duży skład win na rogu Kowalskiej i Nowej, ale w 1924 roku zbankrutował, gdy pooddawał wszystkie długi wierzycielom. Sam był pobożny, ale nie był chasydem, zresztą nie bardzo ich lubił. Chodził do ogólnej synagogi – był ortodoksem, misnagdem. Każde z jego dzieci miało swoje przekonania polityczne, podobnie jak u dziadków Gewerców. Mój ojciec był zwolennikiem Kabotyńskiego i całego ruchu Betar. Żyjąca do dzisiaj w Izraelu moja ciocia należała do żydowskiego lewicującego harcerstwa – Haszomer Hacair, którego członkowie popierali lewicowy syjonizm. Gdy dowiedział się o tym dziadek, był na nią wściekły. W 1935 roku uciekła z domu wbrew woli dziadka, biorąc fikcyjny ślub z człowiekiem, który miał zezwolenie na wyjazd do Palestyny. Pozostała z nim do końca życia, ale dziadek nie chciał już o niej słyszeć. Kontakt utrzymywała tylko z rodzeństwem i swoją matką. Jej własny ojciec nigdy jej już tego nie wybaczył.

Brat mojej mamy, Eliasz Aspis, był w latach 30-tych znanym kasjerem Elektrowni Miejskiej.

DOM RODZINNY I SZKOŁA

Moi rodzice byli młodzi i nowocześni. Mieszkaliśmy w domu Kolberga na Noworybnej, a ojciec, będący ekspedientem w firmie dziadka, założył własny interes na ulicy 1-ego Maja. Był to również skład żelaza, nazywający się „Żelazo-Łom”. Utrzymywaliśmy się z tego na dobrym poziomie, to znaczy, mieliśmy własną służącą, a na wakacje jeździliśmy do popularnego w tym czasie jako letnisko Nowego Dworu koło Lubartowa. Ojciec dojeżdżał tam do nas na soboty i niedziele.

W domu utrzymywało się raczej tradycję żydowską. Była koszerna kuchnia, na piątek paliło się świece, ale ojciec nie był specjalnie religijnym człowiekiem. Ze względu na dziadka chodził w sobotę do bóżnicy, ale już zaraz potem, tego samego dnia biegał po urzędach załatwiać różne

sprawy, czego nigdy nie zrobiłby dziadek. W domu zawsze mówiło się po polsku. Ja, dopóki nie przyjechałam do Izraela, nie znałam jidysz, nawet teraz rzadko się nim posługuję, gdyż w domu mówimy po hebrajsku. Mieliśmy polską literaturę, ale były również żydowskie śpiewniki z ludowymi piosenkami Gebirtiga i Kirpisa, ponieważ moja mama bardzo lubiła i umiała pięknie śpiewać po żydowsku. Życie kulturalne odgrywało u nas bardzo dużą rolę. W soboty wieczorem moi rodzice chodzili do teatru lub do kina.

Miałam dwoje rodzeństwa. Ja byłam najstarsza, potem mój brat Kubaś, który w 1939 roku chodził do syjonistycznej szkoły Tarbut na Niecałej, gdzie uczono częściowo po hebrajsku i najmłodsza siostra, Rachelka, w momencie wybuchu wojny mająca 5 lat. Naukę rozpoczęła dopiero w getcie.

Czytać umiałam już w wieku czterech lat. Rok później rodzice zdecydowali, że powinnam pójść do szkoły. Zdałam specjalny egzamin i rozpoczęłam naukę w żeńskiej szkole powszechnej Beth Jakow na Lubartowskiej. To, że trafiłam do tej szkoły, a nie polskiej, państwowej, też było ze względu na dziadka. Szkoła była praktycznie polskojęzyczna, ale w większym nastawieniu na religię żydowską. Uczono tu też języka żydowskiego i nauka nie odbywała się w soboty. Dlatego też nie miałam specjalnie kontaktu z polskimi dziewczętami. Nie miałam polskich koleżanek również na podwórku, bo kamienica gdzie mieszkaliśmy z rodzicami na Noworybnej była żydowska, podobnie jak dom dziadków Aspisów na Grodzkiej, gdzie często bawiłam się. Za to mój ojciec miał wielu przyjaciół Polaków i to bardzo się nam przydało w czasie wojny.

Po skończeniu w 1939 roku szkoły powszechnej trafiłam do żydowskiego Gimnazjum Humanistycznego na Niecałej, ale niedługo się tam uczyłam, bo Niemcy zamknęli wszystkie żydowskie szkoły zaraz na początku okupacji.

WYSIEDLENIE

Tego dnia trwała właśnie lekcja Korna, gdy na ulicy Nadstawnej Niemcy zaczęli gonić ludzi. Nazajutrz walili już w drzwi mieszkania mojej babci. Uciekliśmy, tak jak staliśmy, na Grodzką do dziadków Aspisów. Tam ukrywaliśmy się przez kilka dni. W tym czasie Niemcy wywozili lubelskich Żydów do Bełżca. Ojciec mój pracował. Był oficjalnie zatrudniony u Niemca Krepina, komisarza, który przejął nasz zakład. To był bardzo dobry człowiek. Wiele nam pomógł. Dzięki tej pracy ojciec posiadał J-Ausweis (żydowski dokument uprawniający do pozostania w getcie i chroniący tymczasowo przed deportacją – przyp. red.). Takie J-Ausweisy zdobył również i dla nas i mogliśmy wtedy wyjść z kryjówki. Zostaliśmy zatrudnieni u Krepina, który w tym czasie prowadził trzy placówki w Lublinie – szmaciarze pracowali na Kalinowszczyźnie, skup żelaza był

w naszym zakładzie przy ulicy 1-ego Maja, szkła na Zamojskiej. Mieszkaliśmy w szczątkowym getcie na Majdanie Tatarskim, gdzie Niemcy urządzali częste selekcje na śmierć. Na Majdanie został zastrzelony mój dziadek – wydał go podczas „akcji” Szama Grajer, który był panem życia i śmierci Żydów w getcie na Majdanie. Mój ojciec miał bardzo bogatego przyjaciela, nazywał się Owadia Frydman. Grajer zaprosił do siebie najbogatszych z getta i każdemu z nich powiedział, że są mu winni duże pieniądze, na przykład po 20 tysięcy złotych. Oczywiście ludzie ci powiedzieli, że nie pożyczali od niego żadnych pieniędzy, na co on zareagował: „to będziecie mi winni te pieniądze” i człowiek musiał mu przynieść żadaną sumę. Chodził ubrany jak SS-man, z pejczem. W czasie „akcji” wskazywał na ludzi tym pejczem i spokojnie mówił „kolego wstań”. Było to równoznaczne z wydaniem na śmierć. Jego siostra żyła po wojnie w Izraelu. Przez ludzi była traktowana różnie. W każdym razie nigdy nie przyszła na spotkanie z ziomkostwem lubelskim.

Kremin, u którego pracowaliśmy, był przyjacielem szefa policji i SS Globocnika i informował nas o każdej selekcji na Majdanie. Uprzedził nas również, że w 1943 roku Niemcy będą likwidować w Lublinie wszystkich pozostałych Żydów i kazał nam uciekać. Uciekliśmy, lecz u Krepina pozostała moja babcia, która nie miała już siły ukrywać się.

BYŁAM KRYSTYNĄ GRAJDA

Z Lublina uciekliśmy w maju 1943 roku do Warszawy. Razem ze mną uciekał mój ojciec, moja siostra i ciotka. Ojciec nasz przez swoich polskich przyjaciół załatwił nam polskie dokumenty i zaczęło się nasze ukrywanie w Warszawie. Ciotka wraz z siostrą w innym miejscu, a my z ojcem na Chmielnej. Mieszkały tam też Żydówki, lublinianki, które oficjalnie były zameldowane w Warszawie jako Polki. Ja też stałam się Polką – według dokumentów nazywałam się teraz Krystyna Grajda. Panie, z którymi mieszkałam, pochodziły z zamożnych rodzin lubelskich – słynna piękność z Lublina, Rubenlichtówna i kupcowa bławatna z Cyruliczej, pani Cynamonowa. Było to jednopokojowe mieszkanie, z którego nie można było w ogóle wychodzić. Jednak pewnego dnia przyszli polscy policjanci i trzeba było uciekać. Ojciec wysłał mnie do Wesołej pod Warszawę, gdzie mieszkałam w domu polskiego kolejarza i nauczycielki. Gdy mąż jej wyjeżdżał do pracy, ona przyjmowała w domu Ukraińców. Pieniądze od ojca otrzymywałam przez Polaka, Andrzeja, ale gdy pewnego dnia nie przyszedł, jak zwykle, nauczycielka wyrzuciła mnie z domu. To była jesień, a ona mnie wyrzuciła bez żadnego płaszcza. Pojechałam do Warszawy, do starego mieszkania, ale nikt nie chciał mnie przyjąć. Zrozumiałam wtedy, że ojca już nie ma.

Szczyście w nieszczęściu – spotkałam na ulicy męża znajomej Żydówki z Lublina. On był w podziemiu i wtedy pomógł mi ulokować się w nowej kryjówce. Miałam ich w ogóle kilka. Raz

było to mieszkanie polskiego komunisty, innym razem ukrywałam się w mieszkaniu „babki” dokonującej nielegalnych aborcji – była to prawdziwa „fabryka aniołków”, aż wreszcie trafiłam na Stare Miasto. Tu mieszkałam wraz z warszawską rodziną żydowską, której syn działał w Żydowskiej Organizacji Bojowej. Na cały dzień zamykano nas na kłódkę w tym mieszkaniu. Pewien polski inżynier przychodził tam, by wynieść kubły z nieczystościami i przynieść nam jedzenie i gazety. Tam nauczyłam się grać w szachy i tam zastało nas Powstanie Warszawskie.

My wcale nie mieliśmy świadomości tego, co się działo w Warszawie. Dopiero, gdy zaczął palić się nasz dom, doszliśmy do wniosku, że to zapewne rosyjski nalot. Udało nam się wyrwać z tego mieszkania, a z piwnicy wygarnęli nas Niemcy. Wtedy dopiero dowiedzieliśmy się, że w Warszawie jest Powstanie. Moich znajomych wywieziono, jako Polaków, na wieś. Tu dopiero wydali ich chłopi. Mnie natomiast przez Pruszków wywieziono na roboty do Berlina. Pracowałam jako spawacz w fabryce. Udawałam, że jestem Polką, udawałam, że się modłę.

W Berlinie przeżyłam koszmar. Co noc bombardowania. W dzień się pracowało, a w nocy siedziało się w bunkrze, aż wyzwolili nas Rosjanie.

Widziałam Niemcy w ruinach, widziałam upodlonych Niemców, bitych przez Rosjan. Nas nie ruszali, nawet ochraniaли i żywili. Do końca nie przyznawałam się, że jestem Żydówką, aż do powrotu do Lublina.

LUBLIN NIESZCZĘŚLIWY

Wróciłam do Lublina i samotnie kręciłam się po Krakowskim Przedmieściu. Z Noworybnej mnie wygoniono. nowi gospodarze, Polacy, nie oddali mi żadnej rzeczy, która należała przed wojną do mojej rodziny. Moją tragedię pogłębiały straszliwe wieści o bliskich i znajomych.

Ja znam Lublin szczęśliwy i nieszczęśliwy. To był ten nieszczęśliwy. Wałęsałam się po ulicach. Od znajomego dozorca dowiedziałam się, że moja rodzina nie żyje, a jedynie siostra jest w domu dziecka. Mój brat oraz moich dwóch wujków zostali rozstrzelani w lesie na tydzień przed wyzwoleniem. Koszmar i pustka. Nie miałam co tutaj robić. Po miesiącu wyjechałam do Łodzi, a stamtąd przez Będzin, specjalnym transportem dostałam się do Włoch.

DROGA DO IZRAELA

We Włoszech przebywałam dwa lata. Uczyłam się i już wiedziałam, że moje miejsce jest w ówczesnej Palestynie. W drodze do niej złapali na Anglicy i osadzili razem z innymi Żydami na

Cyprze. Tam siedziałam przed półtora roku, aż wreszcie w styczniu 1949 roku po utworzeniu państwa Izrael, dotarłam do ojczyzny. Tu pracowałam jako nauczycielka, tu też poznałam swojego męża.

Ziomkostwo lubelskie w Izraelu istniało już przed moim przyjazdem. Ja sama jestem w tej organizacji dopiero od dziewięciu lat. Zaczęłam chodzić na spotkania dopiero po przejściu na emeryturę. Ziomkostwo prowadzi w Izraelu swoje szkoły, dotuje je, adoptowano dzieci z tych szkół. Na spotkaniach rozmawia się w jidysz i po hebrajsku. Po polsku raczej się nie mówi, bo ludzie sami dość słabo mówią w tym języku. Mamy swoją gazetę – „Kol-Lublin” („Głos Lublina” – przyp. red.). Istnieje Księga Pamięci Lublina z bogatymi ilustracjami. Moja wnuczka w szkole zrobiła, zresztą bardzo dobrą, pracę o Lublinie. Do ziomkostwa należą lublinianie, żyjący obecnie w Izraelu, Stanach Zjednoczonych – najwięcej w Nowym Jorku i Los Angeles, duża grupa była we Francji. Lubelscy Żydzi żyją w Szwecji, pewne grupy w Anglii i Australii.

Jakie jest ich nastawienie do obecnego Lublina? Bardzo różne. Wielu z nich boi się szoku. Lublin bez Żydów jest dla nich szokujący. Myślę jednak, że powinno się tutaj przyjeżdżać, bo mimo wszystko jest inaczej, niż to co piszą gazety w Izraelu, czy w Ameryce. Przed wojną też byli antysemitami, a Żydzi przecież żyli tutaj od wieków. W każdym razie uważam, że jest to bardzo indywidualna sprawa. Przecież ci ludzie, którzy obecnie żyją w Lublinie, nie są winni temu, co stało się tutaj przed pięćdziesięciu laty.

Opowieść Ireny Gewerc-Gottlieb spisał Robert Kuwałek